

Andrzej Sepkowski

## **Soteriologia zbiorowa. Uwagi o procesie kształtowania się narodowych idei zbawienia**

Naród wciąż pozostaje wielkim rezerwuarem emocji zbiorowych, a jego idee źródłem jakościowych czynników zmian – mitami bezdyskursywnymi, wciąż rytualizowanymi na dziesiątki sposobów, niezmiennie żywotnymi mimo tylu wieszczów upadku idei narodowych, z jakimi stykaliśmy się w jednoczącej się Europie postkomunistycznej czasu przełomu. Ożywające nacjonalizmy w Europie przełomu uczyniły go znowu przedmiotem żywego zainteresowania nauki, kiedy okazało się, że dawne paradygmaty zostały mocno naruszone, że pojawiły się nowe spojrzenia na to, co jest spoiwem tych zbiorowości, które w dobie przeżywania się idei narodowych w Europie Zachodniej, przypominają wiek XIX, tocząc krwawe wojny właśnie w imię tych idei. Zaczynamy więc znowu pytać o przyczyny tych niepojętych wydarzeń i odpowiadać na nowo mając w pamięci konsekwencje erupcji nacjonalizmów bałkańskich, czując obawy przed ożywaniem podobnych nawet w „starych” demokracjach, co wcale nie jest nieprawdopodobne. Bezpieczny świat sprawia, że państwa narodowe zdają się mniej potrzebne, ale poważny wstrząs, nawet ekonomiczny, może sprawić, że ożyją wtedy, kiedy pojawi się potrzeba obrony interesów zbiorowości.

Przyglądając się praktyce życia narodowego zauważamy bez trudu przekonanie, że członkowie własnego społeczeństwa są w jakimś sensie bardziej ludzcy niż członkowie obcych społeczności, a takie przekonanie było i jest – twierdzi antropolog – jednym z najpowszechniejszych ludzkich złudzeń<sup>1</sup>. Zdaje się wyrastać z herderowskiego przekonania, iż każdy naród jest powiązany więzami kryjącymi się we „wspólnym duchu”. To nie tylko złudzenie, ale i potrzeba ukształtowana historycznie, kulturowo. Na początku były wspólnoty przetrwania i walka w ich obronie (rodziny, plemienia) przywiązywała przez kształtowanie ja powinnościowego. Później, kiedy pojawiały się inne formy organizacji społe-

---

<sup>1</sup> J. Conrad, *Człowiek, rasa, kultura*, Warszawa 1971, s. 20.

czeństw, te, zakorzenione w tradycji, zrytualizowane wzory zostały tam przeniesione i funkcjonowały na zasadzie bezdyskursywnych mitów założycielskich w społecznościach feudalnych. Takie „złudzenia” znakomicie służyły i służą potrzebie potwierdzania tożsamości zbiorowej czy to w feudalizmie, kapitalizmie, czy postkapitalizmie, który już okrzyknięto epoką postnarodową. Uczyniono to przedwcześnie, w euforii towarzyszącej zmianom uważając, że prawdy I Świata są uniwersalne – to stare złudzenie bogatych i silnych.

Naród nie został dany ludziom przez naturę – to stwierdzenie A. Giddensa nie wymaga komentarza<sup>2</sup>. Jest to jedynie rodzaj idei wspólnoty niejednako rozumiany i kultywowany w przeszłości, a kontrowersji wiązanych z pojęciem narodu, narodowości, nacjonalizmu nie wspominamy, bo jest ich bezlik. Spośród wielu prób określenia narodu wybraliśmy tę, która mówi, że jest wspólnotą wyobrażoną (dla M. Webera sentymentalną), mającą w zamysłach jednoczyć, co nie zawsze sprawdza się w praktyce oraz należy do sfery wartości<sup>3</sup>. Nie chcemy akcentować cech tej wspólnoty od wspólnej historii „świętej” poczynając, a kończąc na wspólnej gospodarce. One wszystkie albo dają się kwestionować, albo nie mają wpływu na konstytuowanie się narodu, jaki im się przypisuje. Ale nie można zapominać o tym, że mitem założycielskim przypisywanym filozofom narodowym końca wieku XVIII jest także ten, który mówi, że naród może spełnić się tylko w państwie. Tylko w nim i przez niego może znaleźć swoją pełnię, zbawienie w doczesności. Takie przekonania stworzyły nie systemy wiary, ale prawdziwe religie<sup>4</sup>.

Dla teoretyka narodu ta idea zbawienia w narodzie służy jedynie interesom partykularnym, bywa wykorzystywana w celach innych od deklarowanych, a by była skuteczna, powinna zakładać dobro wszystkich członków tej wyobrażonej wspólnoty<sup>5</sup>. Zakładała ją w teorii, praktyka zaś prowadziła do eskalacji obietnic zbawienia w takiej zbiorowości i takie, nacjonalistyczne „klapki” tworzące złudzenia potęgi – jak pisał H.G. Wells – przyniosły pierwszą wojnę światową. A, co ciekawe, w takim czasie z Wellsem zgadzał się W. Sikorski, uważający iż kult narodowości prowadzi nieuchronnie do imperializmu narodowego, a ów „imperializm” to chyba eufemizm zastosowany przez generała obawiającego się o reakcje czytelników swojego czasu<sup>6</sup>. Miał swoje racje obserwując imperialne tendencje, polskie sny o potędze, tak boleśnie zweryfikowane II wojną. Być mo-

<sup>2</sup> A. Giddens, *Trzecia droga. Odnowa socjaldemokracji*, Poznań 2000, s. 115.

<sup>3</sup> B. Andersen, *Wspólnoty wyobrażone*, Kraków 1997, s. 18.

<sup>4</sup> A.D. Smith, *Nacjonalizm*, Warszawa 2007, s. 40.

<sup>5</sup> S. Fenton, *Etniczność*, Warszawa 2007, s. 196.

<sup>6</sup> W. Sikorski, *Przyszła wojna – jej możliwości i charakter oraz związane z nimi zagadnienia obrony kraju (1934)*, Wyd. MON, Warszawa 1984, s. 41.

że także zastanawiał się nad siłą tej zbawczej idei, która, miast zbawiać, unieszczęśliwiała.

Idee narodowe owładnęły wyobraźnią zbiorową w początkach kapitalizmu i ich związki z nim zdają się niewątpliwe, choć filiacje między nimi a ideami kapitalizmu nie są tak oczywiste, jak sądził m.in. M. Foucault<sup>7</sup>, jeśli zważymy, że narodowe owładnęły także społecznościami rustykalnymi, jak choćby polską, stworzone w warunkach utraty państwowości przez marginalne w początkach romantyczne elity narodotwórcze. Wiedząc o tym, jak wielki to problem chcemy tylko zauważyć opory przed tymi ideami oraz wielki mit Polski–Chrystusa rozdający dziś jeszcze jakieś zbawcze pretensje elit.

Ta marginalność polskich elit narodotwórczych może nieco kłócić się z wizjami „historii świętej” narodu, ale wiele świadectw, dokumentów, potwierdza fakt, iż upadek nadziei zbiorowych, łączony z przegraną Napoleona, zaowocował zjawiskiem nazywanym „roztropną uległością”. Elity Królestwa, wraz z dawnymi jakobinami i żołnierzami Napoleona, zmęczone wojnami, kultywujące homagialne wzory, chętnie poddawały się Aleksandrowi, a potwierdzeniem takich wiernopoddanych postaw był i kościół pod wezwaniem św. Aleksandra i „Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego” zaczynający się od słów: „Boże, coś Polskę...”, skomponowany przez A. Felińskiego. Późniejszy kreator postaci człowieka–narodu, K. Brodziński, nazywał cara „ojcem” w utworze do obojętności ziomków, a później, już na emigracji napisał, że „Aleksander nie miał nad nich przywiązanieśnego ludu”<sup>8</sup>. Feudalni patrioci, tacy jak K. Koźmian, nie pojęli istoty narodu i nie chcieli jej pojmować. W okolicach Listopada idea narodowa była własnością ledwie kilku tysięcy młodych, romantycznych zapaleńców chcących poruszyć bryłę świata. Powoli, bardzo powoli, korzeniła się w Polaku mitycznym. Badacze wspominają, że jeszcze w niepodległej Polsce policja meldowała z niektórych ziem byłego zaboru rosyjskiego, że tamtejsi, mówiący po polsku, chłopci z wielkim sentymentem wspominają państwo carów<sup>9</sup>.

Natomiast mit Polski–Chrystusa, ten zbawczy mit żyjący dziś w jednej postaci jest założycielskim dzięki falsyfikacji, nadinterpretacji. On nie był darem, jak widzieli to interpretatorzy, ale brzemieniem. Oni, wbrew Mickiewiczowi już twierdzili, że Polska jest Chrystusem, on zaś, widząc mizериę emigracji, domagał się tego, by się nim stali zmieniając się wewnętrznie. Widział jak wygląda doskonałość emigracyjnych pieniaczy, słyszał szyderstwa Francuzów i jako pryncypalista etyczny po prostu nie mógł zwać Polski spełnionym Chrystusem narodów. „Możemy przemienić się wewnętrznie – utrzymywał poeta – trzeba roz-

<sup>7</sup> M. Foucault, *Filozofia, historia, polityka*, Warszawa 2000, s. 104.

<sup>8</sup> *Nieznane poezje K. Brodzińskiego*, wyd. K. Łucki, Kraków 1910, s. 69.

<sup>9</sup> J. Rytel, *Tezy o świadomości narodowej Polaków*, [w:] *Patriotyzm. Nacjonalizm. Stereotypy narodowe w edukacji historycznej*, red. K. Zaufal, H. Wesolowska, Kraków 1995, s. 17.

począć nowe życie, robić sobie nową świadomość”. A potem dodawał: „Każdy musi stać się w rzeczywistości, w czynie, duszą i ciałem podobny do Chrystusa”<sup>10</sup>. Niewielu chciało zrozumieć konieczność takiego wysiłku i częścią „historii świętej” uczyniono nadużycie. Ale ta historia jest niczym innym jak ciągiem mityzacji dla każdego narodu.

Powracając do głównego nurtu zauważmy, że przyjmuje się, że II fala zgłosiła zapotrzebowanie na wszechstronny, wykształcony potencjał ludzki potrafiący sprostać wymogom wczesnego kapitalizmu<sup>11</sup>, ale dalej twierdzi się, że odpowiedzią na takie zapotrzebowania były działania państwa nie dodając, że państwa narodowe<sup>12</sup>. Trudno zrozumieć takie sugestie po analizie fenomenu amerykańskiego, bo tam pojawiały się tylko tęsknoty za byciem narodem, a poza tym kapitalizm amerykański potrzebował państwa tylko jako tego „nocnego stróża”. Zdaje się, że i ten problem wymaga „dobrego wyjaśnienia”, bo przyjęcie symetrii tworzenia się narodu z kapitalizmem posłużyło za asumpt do prostego wniosku, że skoro przeżywa się kapitalizm, to wraz z nimi idee narodowe. Natomiast chyba nie wymaga komentarza prosta konstatacja, że identyfikacja narodu, obok instytucji demokratycznych, ukształtowała kulturę nowoczesnej Europy<sup>13</sup>. Nietrudno także zauważyć jak wyglądają wspólnoty narodowe, które nie przeżyły kapitalizmu.

Idee narodu rozkwitły w wieku XIX i to w jakiejś mierze dzięki jednemu z „mitów państwa narodowego”, a wedle niego tylko ono gwarantuje pełny rozwój kultury, gospodarki i powszechną szczęśliwość wszystkich członków narodu. Ta wiara w samozbawienie, nieczęsto potwierdzana przez rzeczywistość pozostawała silna przez dwa ostatnie wieki, a trwała rytualizacja przesądza dziś o jej ogromnej sile. Właściwie taka jej postać jest składową „religią narodu” owocującą nacjonalizmem i patriotyzmem, choć oba te pojęcia są wciąż mgliste, niedookreślone i nam trafia do przekonania próba filozofa, także świadomego jej ułomności: „Patriotyzm i nacjonalizm nie mają wyraźnych granic. Ale jeśli wartości narodowe przyczyniają się do uszlachetnienia człowieka, to można mówić o patriotyzmie, jeśli zaś kogoś deformują i upadlają, mamy do czynienia z nacjonalizmem”<sup>14</sup>. Przyjęcie takiego rozgraniczenia może uczynić analizę postaw Polaków raczej bolesną. Być może powinniśmy iść śladami tych, którzy powiadają, że nacjonalizm jest ograniczany, skupia się na sobie, nie stać go na uniwersalizm, a skrajny nacjonalizm, jak przekonywały tragedie bałkańskie,

<sup>10</sup> A. Mickiewicz, *Dziela*, t. 2, Warszawa 1955, s. 445–447.

<sup>11</sup> A.D. Smith, *Nacjonalizm*, Warszawa 2007, s. 87.

<sup>12</sup> I. Wallerstein, *Analiza systemów-światów*, Warszawa 2007, s. 82.

<sup>13</sup> I. Wallerstein, *Koniec świata, jaki znamy*, Warszawa 2004, s. 34.

<sup>14</sup> M.A. Krąpiec, *Dziela*, t. 10, Lublin 1993, s. 153.

może być *ratio moriendi*. A ten bałkański, jak wiele innych, zdaje się być reakcją na słabość, peryferyzację.

Nie próbując komentować i takich sugestii zauważamy jedynie, że obie postaci uwielbienia dla własnego narodu są kształtowane i rytualizowane przez organizatorów wyobrażeń zbiorowych i od nich w wielkiej mierze zależy to czy zorientują się na taki patriotyzm, czy taki nacjonalizm, czyli wybór zależy od ich interesów. Zwłaszcza w czasie przełomu „jesieni ludów” łatwo było kształtować takie postawy i zachowania, kiedy nie wiadomo było co robić z wolnością, a przejmujący władzę, co z państwem, jak przekonać swoich pobratymców do bycia we wspólnocie. Strach, gniew okresu transformacji pozwalał na instrumentalne wykorzystanie mitu zbawienia w narodzie i głoszono, że tylko w takiej wspólnocie odnajdziemy się na powrót, staniemy jednością, w której każdy znajdzie swoje miejsce. Miał swoje racje V. Tismaneanu, kiedy pisał, że „żadna polityczna wizja nie okazała się w naszym stuleciu bardziej prężna, wielokształtna i trwała niż nacjonalizm. Ta wielka, potencjalnie agresywna, konstelacja symboli, emocji i idei dostarcza także długo podporządkowanym lub poniżanym grupom zbawczego języka wyzwolenia”<sup>15</sup>. Ukazując takie racje chcielibyśmy tylko zauważyć, że role niezwykle ważne, a niezauważane, niedoceniane, odgrywał język zbawienia.

Wtedy też, dokonując wielkich mityzacji i właściwie je rewitalizując, przekonywano za pomocą nowej wizji historii, że narody i państwa istniały „od zawsze”, że są nieśmiertelne<sup>16</sup>, że powoduje nimi nieśmiertelny „duch narodu”. Idee narodu uświęcono tak skutecznie, że uprawniały przemoc wobec mniejszości i członków samego narodu, którzy kontestowali te idee. Swego czasu epitet „wróg narodu” był oskarżeniem o najcięższą zbrodnię, a i dziś ma swoją oskarżycielską moc. Same idee rytualizowano uparcie dodając do innych argument bezpieczeństwa mimo zwykłej nieumiejętności albo niemożności zapewnienia tego bezpieczeństwa przez państwa narodowe. Wiemy z naszej praktyki jak często jest nadużywany i wiemy, że jest to zwykle kłamstwo. Wiemy także, że nie ma „czystych” państw narodowych, choć wiele chce takimi być. Wiadomo także, że nawet w około 90% krajów granice państw nie pokrywają się z terytorium etnicznym.

Dla jednego jest to wspólnota żywa, spojona wieloma nierozzerwalnymi więzami, dla innego zaś naród to kategoria subiektywna, której obiektywizm gwarantuje jedynie państwo, żywotnie zainteresowane rytualizacją mitu o gwarancie wspólnego dobra<sup>17</sup>. Nie sposób dyskutować z sugestią, że nie istnieje ani „natu-

<sup>15</sup> V. Tismaneanu, *Wizje zbawienia*, Warszawa 2000, s. 134.

<sup>16</sup> D. de Rougemont, *List otwarty do Europejczyków*, Warszawa 1995, s. 135.

<sup>17</sup> W. Żelazny, *Etniczność. Ład – konflikt – sprawiedliwość*, Poznań 2006, s. 69.

ralność”, ani stabilność narodu, lecz proces jego stałego rekonstruowania<sup>18</sup>. Oznacza to stałą, intensywną witalizację idei narodowych i dodawanie nowych treści do mitów założycielskich. Miał swoje racje autor powiadający, że naród, który przestaje tworzyć wyobrażenia siebie przestaje być narodem<sup>19</sup>. W wielkich ideach narodowych dobro poszczególnych jednostek znajduje się na drugim i trzecim planie, a każde zło społeczne tłumaczy się znowu tzw. „obiektywnymi racjami”. Rzekomo ten „interes narodowy” ma być interesem każdego członka społeczności, ale takiej interpretacji zbawienia przez państwo narodowe przeczą idee poświęcania się w imię tego interesu, górujące zwykle nad tymi pierwszymi. Zdaje się, że najlepiej rozumieli to Włosi, zawsze pytający o to, w imię czego mają umierać i odpowiadający, że jeśli naprawdę nie wiedzą, to poświęcenie w imię jakiegoś fantomu nie ma sensu. I chyba lekceważą sobie opinie innych o sobie jako żołnierzach.

Jeśli idee poświęcenia pojawiają się w wyobrażeniach zbiorowych, państwo i jego służby stają się coraz bardziej obcy i członkowie wspólnoty wyobrażonej czują pogłębiającą się izolację samoreprodukujących się elit, pytając o cele takiego poświęcenia. Jednak stała, wytrwała rytualizacja motywów zbawienia sprawiła, że naród stał się najważniejszym sposobem wyobrażenia wspólnoty, a każde wyobrażenie wspólnoty jako narodu zostaje nadkodowane i stąd nasza koncepcja wspólnoty jest dotkliwie zubożona – zauważali twórcy kontrowersyjnego dzieła<sup>20</sup>. Można rozumieć to jako konfrontację wielkiej mityzacji z tym, co wcześniej nazwaliśmy „zasadą kontroli rzeczywistości”. Z jednej strony Naród jest obiektem stałej adoracji, którego nie można żadnym sposobem kwestionować, jest bytem niemal konsekrowanym, a z drugiej sami o sobie mówimy rzeczy złe i jak najgorsze, a przysłowiowe „polskie piekielko” jest tego widocznym potwierdzeniem. Nietrudno było to zauważyć i E. Cioran pisał, że narody wzniecają w nas, o wiele bardziej niż jednostki uczucia sprzeczne; kochamy je i nienawidzimy jednocześnie<sup>21</sup>. Kochamy wtedy, kiedy pomagają nam w samo-realizacji, a powody do nienawiści pojawiają się wówczas, kiedy czujemy, że stają się źródłem ograniczeń.

Jedni twierdzą, że nacjonalizm z wielością mitów założycielskich powoli staje się ideą obcą zbawieniu zbiorowemu, a skoro naród nie gwarantuje nam spełnienia materialnego ani duchowego, zaczynamy poszukiwać innych depozytariuszy prawd. Sugeruje się także, że erozji ulegają mocne dotąd filary nacjona-

<sup>18</sup> É. Balibar, *Trwoga mas*, Warszawa 2007, s. 309.

<sup>19</sup> R. Kroes, *The Commodification of America Icons of Freedom*, [w:] „Here, There and Everywhere”. *The Foreign Politics of American Popular Culture*, red R. Wagneleitner, E.T. May, London 2000.

<sup>20</sup> M. Hardt, A. Negri, *Imperium*, Warszawa 2005, s. 123.

<sup>21</sup> E. Cioran, *Historia i utopia*, Warszawa 1997, s. 13.



lizmu. Wraz z weryfikacją treści z formami demokracji kruszy się wiara w to, że naród jest wyłącznym źródłem władzy politycznej, że lojalność wobec niego jest nadrzędna. Zauważając atrofie idei depozytariusze „prawd narodowych” zamieniają ideę w zbiór prymitywnych resentmentów, mocowanych w wyobrażeniach zbiorowych przez mało wyrafinowane symbole i kwiecistą retorykę<sup>22</sup>. Inni natomiast powiadają, że idea narodu wciąż gwarantuje całą dynamikę społeczną i oferuje ramy myślenia o przeszłości, przyszłości<sup>23</sup>. Tacy także zdają się mieć swoje racje i potwierdzają je rozkwitające nacjonalizmy, których erupcji w naszym czasie nie potrafi się przekonująco wyjaśnić. Taką nieprzewidzianą erupcją w dobie atrofii uczuć narodowych są wstrząsy w spokojnej, stabilnej Belgii. Można by taką atrofię nazwać „rzekomą”, gdyby nie to, że podłoże ma zbawczy charakter. Bogatsi Flamandowie nie chcą łożyć na biedniejszych Walonów. Racje zbawienia zdają się przesądzać o tym, że problem państwa narodowego nie jest już problemem, Belgowie są bliżsi idei globalności, a Flamandowie i Walonowie traktują siebie praktycznie, nie jak narody, a prędzej jak wspólnoty przeżycia.

Zgadzamy się z sugestią, że narody jako wielkie zbiorowości są raczej inerte, trudno sterowne i jeśli czasami mówimy o inicjatywności, witalności, żywotności narodu, to winniśmy przyrzeć się państwu, a nie narodowi i tam zacząć szukać źródeł aktywności. Nie wydaje się, by można było poważnie traktować publicystyczne argumenty o mądrości zbiorowej, bo ta zwykle jest tak wielka, jak zbiorowa głupota. I tylko wielkie wizje zbawienia albo wizje strachu są w stanie pobudzić, zaktywizować na tyle, by doszło do czynu prawdziwie narodowego. Zwykle jednak widzimy inercję i jakimś potwierdzeniem tejże jest obojętność wobec wyborów ważkich dla całego narodu. A nietrudno zauważyć, że to właśnie małe kolektywy często generują atmosferę entuzjazmu, w której nic innego nie wydaje się równie istotne, co wyznaczony cel<sup>24</sup>.

Wedle kardynała J. Ratzingera nacjonalizm zepchnął Europę na skraj destrukcji i zrodził zagrożenia dla tych wartości, które przez stulecia kształtowało uniwersalistyczne chrześcijaństwo, ten nacjonalizm, który to, co lokalne wynosi do rangi uniwersalizmu<sup>25</sup>. Z takim stawianiem spraw także trudno się godzić, nie tylko ze względu na Amerykanów, którzy właśnie wynoszą i siłą implantują swoje wzory, ale nie są nacjonalistami nie będąc narodem. A poza tym prawie wszystkie wzory lokalne roszczą sobie pretensje do uniwersalizmu i wcale nie muszą być rozsądnymi zła, a tak było z polskimi uroszczeniami i w wieku XIX

<sup>22</sup> A.D. Smith, *Nacjonalizm*, Warszawa 2007, s. 36.

<sup>23</sup> U. Hannerz, *Powiązania transnarodowe. Kultura, ludzie, miejsca*, Kraków 2006, s. 134.

<sup>24</sup> A. Philips, *Przestrzeń publiczna, życie prywatne*, [w:] *Aktorzy życia publicznego*, red. R. Siemieńska, Warszawa 2003, s. 48.

<sup>25</sup> J. Życiński, *Europejska wspólnota ducha*, Warszawa 1998, s. 47.

i w końcu XX, kiedy chcieliśmy uszczęśliwić Europę naszymi wersjami wartości, czyniąc to może w dobrej wierze.

Państwa narodowe nie zbawiały narodów i taka prawda powoli trafiała do wyznawców nacjonalizmów o różnym natężeniu, a wiemy skądinąd, że takie bywały silne w krajach „starych demokracji”. Dziś tam właśnie powiada się, że państwa narodowe są tworamami stosunkowo młodymi, hołubionymi głównie przez ludzi władzy wykorzystujących trwałość mitów narodowych w przestrzeniach mitycznych<sup>26</sup>. Okazują się coraz bardziej obce wtedy, kiedy państwo nie jest w stanie odnaleźć wspólnych celów, a właśnie wspólnota celów wydaje się mocnym i niechcianym przez polityków spoiwem<sup>27</sup>. Jeśli one nie pojawiają się w wyobrażeniach zbiorowych, niknie zaufanie do państwa, tej emanacji narodu i erozja postępuje, nie tak szybko, ale jest procesem, jakiego chyba nie da się zatrzymać. Wspólne cele stają się celami większych wspólnot i widzimy to w Polsce. Nadzieje i cele z nich wypływające coraz częściej wiązane są z jeszcze mglistą Europą. Dostrzegamy to, że funkcjonariusze państwa narodowego nie podejmują decyzji innych niż peryferyjne i zaczynamy wątpić w moce państwa narodowego. A takie wątpliwości potęgują się jeszcze, kiedy spotykamy się z sugestiami, że państwa narodowe przekształcają się w lokalne agendy globalnego systemu i zostaną za jakiś czas zredukowane do poziomu władz komunalnych. Spotykając się weryfikujemy je z praktyką przekonując się, że jest w nich sporo racji.

Tożsamość narodowa jest raczej polityczna niż narodowa – to także konstatacja niezbyt kontrowersyjna. Jeśli przyjrzymy się choćby polskim kreatorom i rytualizatorom idei po odzyskaniu niepodległości, to zauważymy bez trudu, że bez wielkiego wysiłku polityków poszukujących dla siebie zaplecza, narodowość nie obudziłaby się tak szybko i nie stworzyła takiej jakości, jaką jest naród polski. Po owładnięciu władzą symboliczną zaczęto intensywnie kultywować tę religię narodu z pożądanymi skutkami. Patriotyzm (nacjonalizm) Polaków w przededniu II wojny był poświadczeniem wielkiej wiary, bo moc takiej wiary mierzy się postawami i zachowaniami.

Taka tożsamość była szczególnie potrzebna w systemach totalitarnych tworzących swoją „rzeczywistość fikcyjną”<sup>28</sup>. Kontrola wspólnoty musiała być legitymizowana najpierw koniecznością jej tworzenia i pozostawania w niej. Tworzono ją w oparciu o pradawne wzory określania się wobec Obcego, zwykle krańcowo emocjonalne i konstytuowane na przesłankach „fałszywych” – jak

<sup>26</sup> A. Peccei, *Wstęp* [do:] B. Hawrylyshyn, *Drogi do przyszłości*, Warszawa 1990, s. 11.

<sup>27</sup> J.C. Plano, M. Greenberg, *The American Political Dictionary*, New York 1993, s. 19.

<sup>28</sup> H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, t. 1, Warszawa 1993, s. 399.



określał to jeden z autorów<sup>29</sup>, a dla nas były to mityzacje mające postaci stereotypów, rytualizowane długo i wystarczająco umiejętnie, by przekonywać choćby Niemców czasu hitleryzmu, że są niemal doskonali i zasługują na miano rasy nadludzi. Wykorzystano stare marzenia jednostek i zbiorowości o doskonałości, a widząc siebie w takich lustrach Niemcy uwierzyli i ta wiara uczyniła ich na tyle silnymi, że stworzyli wspólnotę szaleństwa. A jej stworzenie było przecież reakcją na lata głodu, niepewności, na mniemane poczucie krzywdy, jakie nader łatwo zakrzewić w każdej schizochronicznej wspólnotcie, a taką może stać się każda. Wspominaliśmy o tym, że spełnienie nigdy nie jest pełne, że poprzestawanie na osiągnięciu jakiegoś poziomu odbiera człowiekowi jego naturalne atrybuty, a w tym przypadku jego pragnienie było ogromne.

Państwa narodowe są ciągle obiektami adoracji, mityzacji, ale już nie gwarantują zbawienia i zdaje się, że obywatele krajów takich jak Polska odczuwają to coraz silniej. Nie mają wielkich szans w globalnej metagrze, do czego przekonują choćby polskie boje z Rosją o mięso, ale także U. Beck<sup>30</sup> i B. Barber, który zauważał, że państwa narodowe są potrzebne w turbokapitalizmie tak samo jak demokracja. Stwarzają zbyt wiele barier, ograniczają mityczną „wolność ekonomiczną”, a ci którzy przeszkadzają w robieniu pieniędzy, są wrogiem śmiertelnym dla tych, którzy mają władzę rzeczywistą<sup>31</sup>. Takie argumenty stają się z roku na rok coraz silniejsze. Nie mają wątpliwości autorzy głośnego „Imperium” pisząc, że „Nie ulega wątpliwości, że wraz z procesami globalizacji maleje – choć jeszcze nie zanikła – suwerenna władza państwa narodowego”<sup>32</sup>.

Nie przypadkiem ilość państw upadłych (*failed states*) albo upadających (*failing states*) rośnie tak szybko w dobie globalizacji ekonomicznej, choć nie przypadkiem tak szybko „upadają” te, które narodowe nie są. Taki upadek odrywa państwa od narodów znajdujących się pod jego władzą i pojawiają się konwulsje w poszukiwaniu identyfikacji, znaków tożsamości właściwych wspólnotom wyobrażonym. Politycy i niektórzy organizatorzy przestrzeni mitycznych próbują ratować to, co stanowi dla nich wartości nie zauważając, że kulturowa hegemonia państw narodowych skończyła się bezpowrotnie<sup>33</sup>, a to oznacza niemożność pożądaną rytualizacji mitów narodowych. Te państwa, które jeszcze nie „upadły” tak nisko jak klasycznie „upadłe”, wyglądają czasami anachronicznie nie

<sup>29</sup> E.C. Król, *Propaganda i indoktrynacja narodowego socjalizmu w Niemczech 1919–1945*, Warszawa 1999, s. 511.

<sup>30</sup> U. Beck, *Władza i przeciwładza w epoce globalnej. Nowa ekonomia polityki światowej*, Warszawa 2005, s. 30. Metagra oznacza dla Becka symultaniczne splatanie się reguł starego systemu z regułami nowego, które je nieustannie przekształcają tworząc nowe jakości.

<sup>31</sup> B. Barber, *Dżihad kontra McŚwiat*, Warszawa 2001, s. 21.

<sup>32</sup> M. Hardt, A. Negri, *Imperium...*, s. 7.

<sup>33</sup> N. Stevenson, *Cultural Citizenship*, Berkshire 2003, s. 39.

potrafiąc sprostać wyzwaniom czasu, przede wszystkim za sprawą niekompetentnych elit. Ma swoje racje uczony, który powiada, że konwencjonalna polityka jest niedostosowana do nowej, znacznie rozszerzonej w czasie i przestrzeni odpowiedzialności człowieka<sup>34</sup>. Daleko nam do statusu państwa upadłego, ale należymy do sporego grona państw kurczących się populacyjnie. Ostrzeżenia P. Buchanana ze „Śmierci Zachodu” są ciągle aktualne i dla nas. Tu chcemy tylko zauważyć, że stare społeczeństwa tracą naturalny dynamizm, wymuszają zachowawczość, ostrożność.

Nietrudno zauważyć, że my, Polacy, oceniamy przyszłość z perspektywy przeszłości mityzując siłę i narodu, i państwa. A nasza narodowa siła zaprezentowała się inaczej w skojarzeniu z potęgą Unii i widzieliśmy to na majowym szczycie w Samarze (2007 r.), gdzie J.M. Barroso i A. Merkel jednoznacznie dawali do zrozumienia, że Unia jest jednością. Na bieżąco zrytualizowali symbol jedności akcentując, że z niego powinny wypływać postawy i zachowania obywateli państw członkowskich. Ale mimo takich zachowań polityków unijnych nie wydaje się, by politycy sprawujący władzę w krajach nowej 12-stki zrezygnowali z posługiwania się retoryką narodową będącą dla nich tarczą i możliwością zachowania władzy. Po części powoduje nimi partykularny egoizm, bo zdają sobie sprawę z tego, że w ogóle nie są przygotowani do rywalizacji, walki o polskie interesy na forach europejskich, światowych i, z małymi wyjątkami nie mają nic do powiedzenia, zaoferowania i starczy tu przywołać eurodeputowanych M. Giertycha i B. Pęka z ich ofertami dla Europy. Nie mają zwykle wiele do powiedzenia w sprawach Europy i argumenty rodzaju: zawsze byliśmy w Europie, Europa nas potrzebuje, mogą zdawać się prostymi nadużyciami. Nie idą za nimi proste i oczywiste pytania o to, czy Europa nie dałaby sobie rady bez nas, co jej dajemy, nie przywołujemy także głosów, w których daje się odczuć zniecierpliwienie polskimi „wiecznymi pretensjami”.

Inną formą, podobną do tej, jaka proponuje zbawienie w narodzie, jest szukanie go we wspólnocie religijnej. Taki świat to dziesiątki milionów analfabetów żyjących na skraju nędzy, rządzonych zwykle autorytarnie, uprzedmiotowionych do tego stopnia, że nie posiadają swojej zbiorowej wizji zbawienia w doczesności. Ten świat minęła eskalacja oczekiwań i zaspokojeń kapitalizmu, który stopniował takie zaspokojenia. Te wizje biednych zostały przeniesione z feudalizmu w niebiosa. Nie wiemy czym naprawdę jest islamska wspólnota zbawienia, kojarzymy świat arabski z ropą, bajecznie bogatymi szejkami, ale są to symplifikacje opierane na opozycji ja – obcy, nie mające wiele wspólnego z rzeczywistością. Starczy sięgnąć do danych statystycznych, by przekonać się, że utożsamianie islamu z męską supremacją, świętą wojną i aktami terroru jest

---

<sup>34</sup> J. Łukasiewicz, *Eksplozja ignorancji*, Warszawa 2000, s. 273.

co najmniej nadużyciem<sup>35</sup>. Ten świat jest światem biedy, chaosu, to świat feudalny, który odkrywa siebie na tle zbawionego świata bogatych dzięki globalizacji przeżywając traumę, jakiej nie potrafimy sobie wyobrazić.

Pozostawiając ten sygnalizowany problem chcemy zauważyć, że istnieją silne przesłanki, by twierdzić, że pożądane jest tworzenie nowych modeli świata z inaczej rozumianymi wspólnotami narodowymi<sup>36</sup>. Coraz częściej i głośniej mówi się wręcz o konieczności stworzenia tego, co przez wieki było tylko marzeniem wizjonerskich kapłanów i intelektualistów – państwa globalnego, które wreszcie okiełzna transnarodowe siły i przesądzi o racjonalnym zarządzaniu w skali globalnej<sup>37</sup>. O państwie globalnym wspominaliśmy wcześniej nie zauważając tego, iż to marzenie intelektualistów ma składać się ze wspólnot narodowych, a świadomość globalna ma być dziełem pokoleń i wieków koegzystując wprawdzie z narodową. Ale wprawdzie musimy odnaleźć się w Europie, darze ostatnich lat, na który podobno nie musieliśmy się zasługiwać będąc jej częścią od setek lat.

Jak donosiła prasa, w roku 2007, wpływy z kasy unijnej znacznie przekroczyły wpłaty i wyniosły 5,1 miliarda euro, a korzyści mogłyby być jeszcze większe, gdybyśmy – co zauważała komisarz Grybauskaite, – wykorzystywali większą część funduszy dla nas zarezerwowanych. Polska od 2000 do 2006 roku wykorzystywała tylko 63% tychże plasując się na miejscu trzecim od końca wśród państw unijnych, a i tak Polacy są zadowoleni z naszego członkostwa we wspólnocie, choć droga do zbawienia przez Europę i w Europie zdaje się bardzo daleka, po części z naszej także winy, przy czym mamy tu na myśli tzw. elity polityczne. One zdają się nie widzieć tego, że nie one, ale Polska, którą nie potrafią rządzić, potrzebuje Europy zdolnej do działania, subsydiarnej i solidarnej. Nie ze względu na subsydia, znaczące tak wiele, ale ze względu na stworzenie możliwości rozwojowych wręcz niszczonej przez te elity. Widzimy jak to otwarcie na Unię wygląda w społecznościach lokalnych korzystających z inspiracji europejskich, nie tylko finansowych. Dla nich Europa jest synonimem nowej siły, znakiem nadziei i tego lokalnego „zbawienia”.

Nie dla wszystkich, bowiem to lokalne elity rozumieją sens wejścia do wspólnoty, choć teoretycznie nie powinny. Wieki przebywania na peryferiach uczyniły nas takimi, jakimi jesteśmy, choć chyba nie jest tak, jak twierdziła M. Marody, że cywilizacja zachodnia jest dla nas tak obca jak cywilizacja islamu i tylko wąskie elity intelektualne i interesu są zachodnie, a reszta lokalna. Jest w tym sporo racji, bo trudności w porozumiewaniu się nie tylko za sprawą

<sup>35</sup> I.G. Shahan, *Reel Bad Arabs*, New York 2001, s. 9.

<sup>36</sup> B. Hawrylyshyn, *Drogi do przyszłości*, Warszawa 1990, s. 235.

<sup>37</sup> A. Giddens, *Trzecia droga...*, s. 126.

języka, brak obeznania, z założenia inna motywacja, praktyka innych społeczności to bariery Huntingtona<sup>38</sup>, które będziemy musieli przewycięzać w zbyt krótkim czasie, a terror chwili może przynieść traumę kulturową, pogłębianą stosunkiem do nas. Ale nie wszystkie racje, bo nietrudno zauważyć, że Polacy chcą odnajdywać się w Europie z prostych względów. Zauważają, że wspólnota gwarantuje to, czego nie może dać słabe państwo narodowe. Nie artykułują tego wprost, nie są „opinią”, ale miliony poszukiwaczy szczęścia na zachodzie są przesłanką, i to mocną, do takiego sądu.

My wszyscy mówimy „Europa” w różnych tonacjach, próbujemy się z nią utożsamiać nie wiedząc, a nawet czasem nie chcąc wiedzieć, czym jest, czym być powinna i czym będzie. Czy to tylko kształt na mapie, czy rodzaj wspólnoty kulturowej, czy tylko fantazmat. Świadomi własnych kompleksów zadajemy sobie pytanie o to, czy także jesteśmy integralną jej częścią, czy tylko peryferiami ze wszelkimi statusami peryferii. Czy jesteśmy tylko „narodem filozoficznym” i w jej konstrukcji filozofia powinna odgrywać większą rolę<sup>39</sup>. Raczej filozofia praktyczna, polityczna, a w takim sądzie jest wiele treści. Przecież narody „twardego rdzenia” Europy same idee wspólnoty budowały w oparciu o filozofię, w separacji od religii<sup>40</sup>. Próbując ją tworzyć chyba powinniśmy być bardzo uważni, bo znajdziemy wiele racji w sądzie autora, który utrzymywał, że mit Europy kulturowej jest przykładem działania, którego skutki bywają odwrotne do zamierzonych<sup>41</sup>. Taka wspólnota oznacza przecież tożsamość kultur normatywnych i symbolicznych, a na pierwszy rzut oka widzimy, że nasze wartości, nasze wyobrażenia zbiorowe są inne niż Niemców, Włochów czy Litwinów i nieprędko spotkamy się z nimi na jednej płaszczyźnie.

Być może, poszukując siebie, Europejczycy, z nami w tym rzędzie, powinni spojrzeć innym okiem na „narod narodów”, na wspólnotę amerykańską. Amerykanom udało się stworzyć jakoś nazywaną przez nich samych „religią obywatelską” i ona pozostała spoiwem tak mocnym, że wspólnocie nie zdołały zaszkodzić nawet konwulsje wojny secesyjnej. Ameryka marzyła o byciu narodem, o ostatecznym zdefiniowaniu się wobec świata<sup>42</sup>, o odnalezieniu swojego zbawienia, o czym mówił R. Kipling. Znalazła dzięki konsekwencji w rytualizacji tych wartości, jakie uznano czysto amerykańskimi, choć Amerykanie nie są narodem, sami mają co do tego wiele wątpliwości, ale narodem w europejskim znaczeniu być nie muszą. Są natomiast narodem dla tych, którzy uważają, że na-

<sup>38</sup> S.P. Huntington, *Zderzenie cywilizacji*, Warszawa 1997, s. 181.

<sup>39</sup> R. Braidotti, *Transpositions*, Cambridge 2007, s. 21.

<sup>40</sup> T.G. Ash, *Free World*, New York 205, s. 47.

<sup>41</sup> E. Lewandowski, *Pejzaż etnicznej Europy*, Warszawa 2005, s. 103.

<sup>42</sup> J.D. Hunter, *Culture Wars. The Struggle to Define America*, New York 1990, s. 50.

ród istnieje jako wspólnota wyobrażona<sup>43</sup>. Są wspólnotą celów jednoczącą się wokół takich, które są symbolizowanymi ikonami Ameryki. Budując wielką świątynię narodowej wiary zaczęli od dachu zawieszając go na niewidzialnych filarach symboli. Jeśli nie wierzymy autorowi twierdzącemu, że wspólnota europejska istniała od zawsze, to pomyślmy o dachu dla wspólnego domu<sup>44</sup>. Takim dachem mogą być wielkie, rytualizowane wizje zawieszane w dalekiej przyszłości, konstruowane tak, jak wizje „miasta na wzgórzu” czy „latarni dla świata”. Animatorzy poszerzania i pogłębiania powinni robić wiele, by Europejczycy ujrzeni przed sobą wspólne cele i to takie, jakie będą obietnicą pełni.

Chyba naturalne jest pytanie o to, czy, jeśli chcemy budować Europę z Europejczykami, nie powinniśmy korzystać z tamtych wzorów, czy możemy wykorzystać tamte doświadczenia, czy architekci naszych wyobrażeń zbiorowych i sprawujący władzę symboliczną nie powinni zwrócić uwagi biorąc pod namysł wszystkie podobieństwa i różnice. Europa państw narodowych, które jeszcze nie przeżyły etapu narodowego, które są zanurzone w głębi historii i z niej czerpią znaki tożsamości zbiorowej, jest jakościowo inna, naznaczona śladami wielu kataklyzmów, ciągle wracająca w przeszłość nie po nauki, ale środki obrony lub ataku. Amerykanie konstytuowali swoją zbiorowość w czasie, w którym plebejscy imigranci nie przynosili z sobą wartości czysto narodowych, jako że Europa tego czasu (zwłaszcza wschodnia i środkowa) dopiero wchodziła na etap narodowy. Jeszcze byli przyzwyczajeni do homagialnych wzorów i wtedy te nawyki pomagały w spontanicznej legitymizacji władzy opartej na symbolach. Lata współżycia sprawiły, że Amerykanie zaakceptowali swoje formy lojalności wobec centrum, Europa zaś nie miała takiego poczucia i w walkach wszystkich ze wszystkimi wiekami uczyła się wrogości<sup>45</sup>. Nominalnie takim centrum po czas schizm był Rzym, ale wiemy, do jakiego stopnia nominalnie.

Inna postać pamięci zbiorowej zdaje się niezbędna, żyjemy przecież w czasie, w którym bardziej niż w innych potrzebujemy wielkich, uniwersalistycznych projektów – twierdził z przekonaniem E. Wood<sup>46</sup>. Nie wystarczą bowiem zaklinalnia rzeczywistości, tak częste w naszym czasie w ustach zadeklarowanych zwolenników pełnej integracji, utrzymujących choćby, że Europa musi być mocarstwem<sup>47</sup>. Nie wystarczą, bo Europa jest już mocarstwem nie potrafiącym

<sup>43</sup> R. Kroes, *The Commodification of American Icons of Freedom*, [w:] „Here, There and Everywhere”. *The Foreign Politics of American Popular Culture*, red. E. Wagneleitner, E.T. May, London 2000, s. 273.

<sup>44</sup> C.J. Friedrich, *Europe! An Emergent Nation?*, New York 1969, s. 1.

<sup>45</sup> M.J. Vile, *Politics in USA*, New York 2007, s. 18.

<sup>46</sup> E. Wood, *What is Postmodern Agenda*, [w:] *In Defence of History. Marxism and Postmodern Agenda*, red. E.M. Wood, J.B. Foster, New York 1997, s. 13.

<sup>47</sup> J. Kaczmarek, *Unia Europejska: trudne dojrzewanie*, Wrocław 2003, s. 35.

upodmiotowić tej mocarstwowości – tak przynajmniej twierdzi T. Reid w „The United States of Europe”. Przywołując statystyki, które mogą przywracać wiarę w „starą, zmęczoną Europę”, tam widzimy, że wśród czołowych firm światowych dominują europejskie, podobnie jak w bankowości. Europejczycy są bardziej energooszczędni niż Amerykanie, bardziej inicjatywni, czego poświadczeniem jest dynamika powstawania małych firm. Potrzebują tylko bodźców i autorowi tej pracy marzy się wykreowanie jakości, jaką można by nazwać „European dream”.

To zdaje się także swoistym epimeteizmem, nierzadko spotykanym w historii Europy i w takim przypadku przypominają się górne deklaracje tuż po zawarciu traktatu w Maastricht, kiedy pisano o trzynastym państwie, trzynastym narodzie, jakim mieli być Europejczycy<sup>48</sup>. To trzynaste państwo fundowano na unikalnej architekturze instytucjonalnej – zauważał badacz<sup>49</sup>. Nieustannie eksperymentowano, z tym że niektóre z tych eksperymentów kończyły się na fazach projektowania, a tak było i jest choćby z eurokorpusem, tak z trwałym pytaniem o to czy pogłębiać, czy poszerzać. Choroby demokracji sprawiły, że Europa nie ma ani zasad, ani strategii, co powtarzają coraz głośniej analitycy, a za nimi publicyści obserwujący zachowania polityków europejskich i głowę państwa w przyszywanej Unii Francji w czasie olimpiady w Pekinie.

Po pierwszym, psychologicznym etapie poszerzania i pogłębiania Europa zdaje się popadać w marazm braku wizji rodzących prawdziwe cele, czego poświadczeniem jest ilość i jakość działań magicznych. Okres wiary w poszerzanie i pogłębianie skończył się chyba wraz z dyskusjami nad planem Foucheta. Fiasco pomysłu nierozzerwalnej unii sześciu państw prowadzących wspólną politykę zagraniczną zakończyło ten okres, który dziś zdaje się czasem niewykorzystanych szans. Ferwor jednoczenia, swoisty terror chwili etapu integracji ekonomicznej odsuwał na plan drugi i trzeci organizowanie nadziei zbiorowych obywateli państw Wspólnoty, osiągających progi spełnienia w dobrach materialnych i czujących się w miarę bezpiecznie pod parasolem NATO. W wyobrażeniach zbiorowych pojawiły się przekonania, że jest to Wspólnota oparta o wymianę dóbr i ograniczony transfer ludzi i taką powinna pozostać. Z Królestwa Możliwości nie wybrano tej, jaką proponowali konstytucjonaliści. Przyjęcie konstytucji jeszcze w latach 50. mogło być ramami dla zorganizowania wspólnoty spełnienia o zupełnie innych kształtach, a takie kształty narzucałyby już strategię poszerzania o nowych członków.

<sup>48</sup> C. Kastoryano, *Transnational Nationalism*, [w:] *Identities, Affiliations and Allegiances*, red. S. Benhabib, I. Shapiro, Cambridge 2007, s. 159.

<sup>49</sup> B. Eberlein, E. Grande, *Reconstituting Political Authority In Europe*, [w:] *Complex Sovereignty*, ed. E. Grande, L.W. Pauzy, Toronto 2005, s. 146.



Zdawać się mogło, że taką generującą wizją może być Strategia Lizbońska, której celem głównym miało być stworzenie w Europie do roku 2010 najbardziej konkurencyjnej gospodarki świata. Strategia miała opierać się na kilku czynnikach z innowacyjnością na czele. Pozostała tylko wizją, w dużej mierze za sprawą niemożności wyjścia poza taktykę wobec 27 dziś państw członkowskich. Za sprawą imponderabiliów wyszukiwanych przez niektóre państwa narodowe obraz sytej, bezpiecznej dla wszystkich Europy rozmył się w podejrzeniach o dyktat, o obronę partykularnych interesów najsilniejszych i nie spełnił swojej aktywizującej roli. Skrywając się za tarczami narodowości politycy krajów takich jak Polska falsyfikują swoje role społeczne, jako „kapłani ojczyzny” bronią imponderabiliów, bo zbyt często nie stać ich na ochronę generalistów ekonomicznych, społecznych czy politycznych, o których mają małe pojęcie. Wchodzenie na poziomy nadnarodowe wymaga zdecydowanie innych kompetencji, jakich ci politycy raczej nie posiadają i tu starczy przyjrzeć się naszym eurodeputowanym i ich praktykom. Wina leży nie tylko po stronie polityków małych krajów, bo wśród tych, którzy reprezentują „twardy rdzeń” także nie spotkamy wizjonerów, a rządzących myślących tylko o sobie i teraźniejszości.

Dla stworzenia wielkiej wspólnoty będącej oazą dobrobytu i bezpieczeństwa, nie wystarczą mgliste projekty integracji kulturowej, przywoływanie sokratyczno-chrześcijańskich korzeni Europy, które dla zwykłego człowieka są tak głęboko ukryte, że nie bardzo wiadomo z czym je kojarzyć. Rozliczne ich interpretacje przez ludzi nauki nie mówią wiele i nie powiedzą, jeśli nie przełożymy ich na czytelny język symboli mogący posłużyć większym konstrukcjom godząc się z tymi, którzy powiadają, że integracja potrzebuje przede wszystkim tworzywa duchowego<sup>50</sup>. Na razie służą tylko sądom wyglądającym na klasyczne uzurpacje, służącym tylko samouspokojaniu, jak choćby poniższy: „Europa nowożytna uwierzyła w przyszłość. Człowiek stał się naprawdę kreatorem”<sup>51</sup>.

Z pewnością Europejczykom udało się dokonać wiele, ale te wszystkie prace zdają się zaledwie początkiem wielkiego dzieła, bo nowe wyzwania wymagają reorientacji, zdecydowania podobnego do tego z okresu psychologicznego, a przyglądając się tym wszystkim zabiegom mającym służyć nowym projektom stajemy się po prostu sceptykami widząc inercję, brak synergii, a niekiedy zwykły egoizm państw narodowych, na pewno zrozumiały, ale nie do przyjęcia na dłuższą metę, bo ten egoizm szkodzi nie całej Europie, a słabszym ogniwom Unii. Nie wydaje się, by rację miał D. Moisi mówiący, że Europa znalazła się w samym środku poważnego kryzysu tożsamości, że sparaliżowana nie może sprecyzować swoich wartości ani kryteriów geograficznych po zniknięciu daw-

<sup>50</sup> J. Życiński, *Europejska wspólnota ducha*, Warszawa 1998, s. 139.

<sup>51</sup> N. Luhmann, *Observations on Modernity*, Stanford University 1998, s. 65.

nego wroga, czyli Związku Radzieckiego. Dla tak innej wspólnoty nie zbuduje się tożsamości zbiorowej na opozycji ja – obcy, która sprawdzała się w tworzeniu państw narodowych. Taka opozycja jest tylko piaskiem, cementem zaś zupełnie co innego i takim spoiwem może być tylko to, co może łączyć.

Może mają swoje racje Amerykanie twierdząc, że Europa jest stara i zmęczona, jeśli tak chętnie i to od ponad stu lat potwierdzają to sami Europejczycy, ale przecież to, co czynią świadczy o ich żywotności. Dla nas problemem jest to – zauważał J. Baudrillard – że nasze stare cele – rewolucję, postęp, wolność – rozmyły się zanim zostały osiągnięte, poza wszelką możliwością realizacji<sup>52</sup>. Poczucie bezsily, mimo pozornych sukcesów, podważa podstawy społeczeństw, wiarę w przyszłość – to zauważał już Gadamer w „Dziedziectwie Europy”. Oni także uważają, że potrzebne są nam nowe cele, a poprzedzać je powinny generujące wizje przypominające amerykańskie „miasto na wzgórzu”, konsekwentnie rytualizowane i interpretowane przez posiadających władzę symboliczną i zdających sobie sprawę z istoty tej władzy. Nie tworzy się ich dla czasowej aktywizacji, ale dla podtrzymania nadziei długiego trwania i takie wizje muszą rodzić coraz to nowe drzewa celów. Bo inaczej obumierają wraz z nadziejami zbiorowymi na to, na co człowiek ma zawsze nadzieję. Cele powinny wynikać z wizji, a wydaje się, że rację ma L. Pervin powiadając, że najbardziej mobilizują nas serie bliskich w czasie, spójnych celów pośrednich, które prowadzą do głównego<sup>53</sup>. Na razie nie ma takich, są tylko potwierdzenia, że bardzo wielu politykom i ekonomistom odpowiada taki wygodny i efektywny w sumie układ wymiany dóbr materialnych i ograniczony jeszcze transfer ludzki.

W telosach Europy naszego czasu widać paraliżujący reentywizm. W praktycznej postaci przekłada się na rozwiązywanie problemów bieżących bez podporządkowania ich wizjom, projekcom, strategiom. Niekiedy nawet tworzy się problemy, by, rozwiązując je, przekonywać do sprawności aparatu, a z pewnością wielu z nich można unikać stosując proste metody prewencji, jakie są nieodłączną częścią każdej projekcji, bo w takich konkretyzacjach wizji zwykle przewiduje się alternatywy dla rozwiązań, jakie się nie sprawdzają. One zdają się niezbędne choćby po to, by często pytać o zagrożenia dla wspólnoty narodów, a takich, oczywistych pytań, po prostu brakuje, jakby wszyscy byli pewni, że Europa została już zapisana w planie świata. Powinniśmy pytać poszukując tych zagrożeń. Wiemy już, że strachy mogą być także ożywiające, inspirujące, o ile ich kreatorzy nie przekraczają pewnych granic. Nie musimy ich tworzyć, starczy zacząć pytać o niebezpieczeństwa, jakie pojawić się mogą. Tymczasem dominuje syte, bierne zadowolenie.

<sup>52</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 1998, s. 106.

<sup>53</sup> L.A. Pervin, *Psychologia osobowości*, Gdańsk 2002, s. 291.

Taka teleologia musi także cechować się konsekwencją, a zniechęca do siebie, jeżeli przypomnimy sobie cele Strategii Lizbońskiej, potwierdzające stare nawyki myślenia i działania magicznego. Takie „wizje” nie organizują tzw. długiego czasu nadziei społeczności, nie są w stanie aktywizować wielkich grup, tym bardziej że tylko elity wiedzą, czym jest ta strategia. Zwykły Europejczyk musi ujrzeć przed sobą nowe przestrzenie obietnicy. Wspominaliśmy już, że wizje amerykańskie generowały soteriologię ziemską w wulgarnej, ale przekonującej postaci i nie brakło w nich obietnic spełnienia materialnego i duchowego w doczesności, a co najmniej utrzymania przez bogatych ich dotychczasowych statusów, a przez biednych osiąganie poziomów tych bogatych, co sprawdzało się w polskich wizjach zbawienia. Wiemy, jaką moc miały wizje znalezienia się w rodzinie „wolnych” krajów, jak przekładały się na aktywizm zbiorowy, inicjatywność polityczną. A w naszym czasie pojawiają się takie przestrzenie obietnicy i będą się poszerzały, choć twierdzi się, że europejski model społeczeństwa zbudowany na fali nowoczesności stał się luksusem<sup>54</sup>. Społeczeństwa dobrobytu powoli stają się rajami utraconymi, ale pozostają społecznościami sytości i stabilizacji, jakiej nie doświadczali mieszkańcy biedniejszych państw. Wiele wskazuje na to, że pozostaną azylami spokoju i dostatku, o ile nie zdarzy się coś nadzwyczajnego.

Wydaje się dziś, że w ożywającej i zanikającej debacie konstytucyjnej mogłyby znaleźć się wizje Europy upodmiotowionej, silnej, zapewniającej wszystkim Europejczykom takie same warunki życia. Miast oglądać się w przeszłość, przywołując choćby niewiele mówiące tradycje karolińskie, winniśmy spojrzeć w przyszłość odrywając się od historii, która nie będzie łączyć, ale dzielić. Przesłanek do takich właśnie wniosków dostarczają ożywione i niezmiennie bezowocne dysputy o możliwościach stworzenia jednej historii europejskiej, niemożliwej do napisania nawet w formie przypominającej najbardziej prymitywne, narodowe „historie święte”. Łączyć mogą cele, jakimi są bezpieczeństwo zbiorowe i stabilność 27-ki. Bezpieczeństwo pod parasolem NATO nie stało się większe niż ze strony ZSRR w okresie zimnej wojny, o ile nie przyjmujemy, że Rosjanie bezustannie myśleli o ataku na bogatą Europę, jak sugerowali to autorzy powieści sensacyjnych tworzący samodestruujące się prognozy (F. Forsyth, T. Clancy, D. Jones).

Z pewnością Europa i dla lepszych stosunków ze Stanami i własnego bezpieczeństwa powinna zadbać o własną obronę – uważa S. Strange<sup>55</sup>. Europejczycy w sumie wydają na obronność niewiele mniej niż Stany, ale są w sumie bez-

<sup>54</sup> P.A. Chilton, Ch. Schaffner, *Politics as Text and Talk*, Amsterdam 2002, s. 69.

<sup>55</sup> S. Strange, *The Future of American Empire*, [w:] *The United States in the World Political Economy* (ed. T. Renter), New York 1994, s. 374.

bronni. W budżetach krajowych przeznaczają się ogromne sumy na niesprawne, marnotrawne armie, które czasami służą tylko dobremu samopoczuciu polityków przyjmujących defilady, ale nie są w stanie skutecznie bronić obywateli ani przed zagrożeniami symetrycznymi, ani asymetrycznymi. Za połowę sum przeznaczanych głównie na bieżące utrzymanie i remonty, można stworzyć euroarmię tak silną i mobilną jak amerykańska, a może nawet silniejszą.

Raz jeszcze wracając do wątku narodowego zauważmy, że twórcy takich pomysłów zdają się uwięzieni w starych paradygmatach myśląc o stworzeniu narodu europejskiego na miarę definicji, uważając za niemożliwe stworzenie go bez wspólnej historii. Przywoływaliśmy Amerykanów także po to, by sugerować, że stworzenie wspólnoty celów, która wcale nie musi być narodem nie musi być tożsame z tworzeniem wspólnej wizji przeszłości. Amerykanie oderwali się od przeszłości, od historii Edwardów i Henryków i na nowo zaczęli ją pisać od „Mayflower”. A jeśli już zdecydujemy się na tworzenie europejskich wizji historii, to powinniśmy tworzyć historię idei, a nie czynów.

Powinno być w niej jak najmniej akcentów narodowych, choć nie wydaje się, by historycy i politycy mogli znaleźć formułę kompromisową w najbliższym czasie, a tego czasu po prostu nie ma. Powtarzamy: jeśli już zdecydujemy się na tworzenie europejskiej wizji historii, to powinniśmy tworzyć historię idei, a nie czynów. Tak to zrobili Amerykanie czyniąc swoją historię historią wolności nie zwracając zbyt wielkiej uwagi na fakty, które jej przeczyły, na niewolnictwo, eksterminację Indian. Oni zdawali się najlepiej rozumieć to, że historia jest dialogiem o przeszłości toczonym w teraźniejszości w imię przyszłości. Dla Europejczyka zaś historia bywa tylko potwierdzeniem zagrożonych tożsamości zbiorowych i nie interesuje go jako proces, a tylko epizody, które potwierdzają idealne wizerunki narodu albo legitymizują władzę. Zaczniemy pisać historię z perspektywy przyszłości. Wizje przyszłości – jak pisał G. Therborn – to nowy horyzont naszych dążeń, pełnego miejsc, jakich nie widziało ludzkie oko<sup>56</sup>.

Potrzeba tworzenia nowych wizji przeszłości i przyszłości zdaje się bardzo pilną w naszym czasie swoistego zawieszenia między jakościami narodowymi i nadnarodowymi. Państwa narodowe zaczęły się przeżywać, słabości narodowych legislatyw i egzektyw zauważano już po II wojnie, a przed powstaniem wspólnoty europejskiej<sup>57</sup>. Demokracja nie jest sprzymierzeńcem kompetencji i altruizmu władz i wybrańcy nie są w stanie zapanować nad materią gospodarczą i społeczną bez wspomoczenia przez siły intelektualne, do których czują nieufność. Niedostatki kompetencji przejawiają się w kalekiej legislacji i zaniechaniach egzektyw nie mających ani jasnych celów, ani determinacji. Sprawujący

<sup>56</sup> G. Therborn, *Drogi do nowoczesnej Europy*, Warszawa 1998, s. 508.

<sup>57</sup> R. Cameron, *Historia gospodarcza świata*, Warszawa 2001, s. 422.

władzę polityczną zdają sobie sprawę z własnych niedostatków i legitymizują tę władzę za pomocą symboli i mitów utożsamianych z wartościami narodowymi, a wiemy o tym, że mity są z natury bezdyskursywne.

Za pomocą takich mitów falsyfikują rzeczywistość, przekonując społeczność co do konieczności kultywowania państw narodowych w starym kształcie<sup>58</sup>, zwłaszcza w Europie postkomunistycznej. Być może rację mają ci, którzy twierdzą, że wschód Europy nie jest odpowiednio przygotowany na ponowoczesną samoidentyfikację wspólnot narodowych<sup>59</sup>, nie jest jeszcze kompatybilny z zachodem, ale takie sugestie winny być inspiracjami dla organizatorów wyobrażeń zbiorowych, chyba wiedzących o tym, że można je zmieniać, profilować. Taką próbą, choć niekonsekwentną, była próba stworzenia wizji „małych ojczyzn”, tożsama z koniecznością budowy społeczeństw obywatelskich.

Być może państwa narodowe umrą śmiercią naturalną, być może budulec na postnarodowe imaginarium znajduje się w zasięgu umysłu – jak zauważał badacz<sup>60</sup> – ale, póki co, żyjemy w państwach narodowych związani narodowymi wyobrażeniami i nie możemy przesądzać, kiedy do głosu dojdą proteiczne generacje R. Liptona, czyli takie, które nie są zakorzenione w konkretnych kulturach, generacje e-obywateli<sup>61</sup>. Nie wydaje się, by w naszym czasie można było dochodzić do poszerzania tego imaginarium metodami stosowanymi w demokracjach i ingerować mocniej w politykę wewnętrzną państw narodowych, tych zwłaszcza, w których historia jest narzędziem władzy, rezerwuarem symboli pilnie strzeżonym przez przewrotnych, obłudnych strażników.

Kto szuka europejskiej jedności – pisali R. Boyes i B. Cywiński – ten skazany jest na przeżycie wielu rozczarowań. Nie ma jednolitej Europy<sup>62</sup>. Ona może stać się ciałem tylko wtedy, kiedy zachowa się pełną synchronię między procesami poszerzania i pogłębiania, jeżeli co jakiś czas nie będą pojawiały się projekty Europy dwóch albo trzech prędkości oznaczające *de facto* dezintegrację i zepchnięcie państw takich jak Polska do ról zdecydowanie podrzędnych. Te dość stare koncepcje, bo pamiętające jeszcze czasy L. Tindemansa i W. Brandta, znowu pojawiły się w czasie kryzysu politycznego Unii w roku 2008 i ta częstotliwość pojawiania się projektu zaczyna niepokoić, bo może on spełnić rolę samosprawdzającej się prognozy. Wydaje się, że Unia może stać się ciałem wtedy, kiedy wszystkie jej państwa znajdą się na przybliżonych poziomach rozwoju

<sup>58</sup> A. Pececi, *Wstęp* [do:] B. Hawrylyshyn, *Drogi do przyszłości*, Warszawa 1990, s. 11.

<sup>59</sup> W. Bursza, *Dwie Europy*, [w:] *Dylematy tożsamości europejskich pod koniec drugiego tysiąclecia*, red. J. Mucha, W. Olszewski, Toruń 1997, s. 47.

<sup>60</sup> A. Appadurai, *Nowoczesność bez granic. Kulturowe wymiary globalizacji*, Kraków 2005, s. 37.

<sup>61</sup> J. Mikułowski-Pomorski, *Jak narody porozumiewają się ze sobą w komunikacji międzykulturowej i komunikowaniu medialnym*, Kraków 2007, s. 369.

<sup>62</sup> R. Boyes, B. Cywiński, *Sezon na Europę*, Warszawa 2003, s. 16.

ekonomicznego, bo wtedy pojawi się równość korzyści nie wynikających z form dystrybucji budżetu unijnego.

To są sugestie funkcjonalistów, zwykle nie biorących pod uwagę możliwości osiągnięcia tych poziomów. Takie procesy, pozostawione samym sobie, mogą zając nawet dziesiątki lat, a czas może okazać się wrogiem największym, bo pojawić się mogą zjawiska, które mogą wręcz zagrozić kruchej jedności Europy, a takim zjawiskiem jest już choćby masowa migracja na stary kontynent mieszkańców Afryki i Azji, wobec których Europejczycy zachowują się tak, jakby nie chcieli widzieć w tym problemu. Ich obecność i konieczność akulturacji zdaje się oczywista, a nie robi się praktycznie nic, by nawet zmuszać tych gości do korzenia się w nowych warunkach tworząc enigmy politycznych poprawności, o których wiemy, czym są. Przez taki brak zdecydowania, miast europejskiego patriotyzmu stworzymy postać europejskiego natywizmu, a poza tym można obawiać się poważnie o to, że powiększające się enklawy imigrantów będą starały się o zdobywanie niezależności, podmiotowości, bo takie obawy potwierdza praktyka włoska, angielska, francuska, hiszpańska.

Wydaje się, że trzeba intensywnie poszukiwać czynników generujących poczucie wspólnoty i takie czynniki znajdują się w rezerwuarach kulturowych. Wyobrażenia zbiorowe Europejczyków muszą nabrać pełnego kształtu, zawrzeć w sobie wszystko, co może łączyć, a nie dzielić. Kreację takiego świata można oprzeć o to, na czym wspierali się Amerykanie, o bezdyskursywne mity wywodzone z wielkich archetypów wolności, równości, sprawiedliwości i tu nauki amerykańskie mogą okazać się bardzo przydatne. Nie tylko amerykańskie, bo warto przypomnieć sobie „metodę Moneta” – czyli rodzaj łagodnego despotyzmu przy stosowaniu polityki faktów dokonanych<sup>63</sup>. Takie światy mogą stworzyć niedoceniani intelektualiści, ludzie nauki przekonani do tego – jak D. de Rougemont – że dopóty nie będzie Europy, dopóki nie będzie Europejczyków<sup>64</sup>.

Wielkie wizje wielokulturowej Europy muszą znaleźć swoich depozytariuszy, tak konsekwentnych i zdecydowanych jak WASP-s w Stanach, a ci unikali przywoływania symboli narodów składających się na amerykańską mozaikę, nie toczyli bezładnych sporów o symbole mające reprezentować „wartości”. Inaczej, nawet z pozoru tak oczywiste dla wielu chrześcijańskie korzenie, stają się przedmiotem sporów, jakie mogą dziwić albo wydawać się bezsensowne. Nie wydaje się, by zasadne było poszukiwanie syntezy wielu spojrzeń na światy wyobrażeń społeczności europejskich. Starczy spojrzeć na polskie i francuskie rozumienie wolności, by dojść do wniosku, że polski i francuski świat wolności mogą spotkać się tylko w przestrzeni mitycznej. Jakimś argumentem przema-

<sup>63</sup> F. Fries, *Spór o Europę*, Warszawa 1998, s. 20.

<sup>64</sup> D. de Rougemont, *List otwarty do Europejczyków...*, s. 68.



wiającym za możliwością stworzenia jednolitej przestrzeni mitycznej dla wielu narodów Europy są tęsknoty narodów Europy Środkowej za prawdziwą wspólnotą idei. Poparcie dla wstąpienia Polski do Unii w początku wieku wahało się w granicach 70–80% i pozostało na takim poziomie po wstąpieniu, a nie wydaje się, by stopień tego poparcia zależał tylko od przewidywanych i rzeczywistych korzyści materialnych, bo przecież tylko część Polaków odczuła to na własnej skórze. Wiele znaczy nadzieja, chęć znalezienia się we wielkiej wspólnocie narodów, dalekich i bliskich. Nie została dobrze wyartykułowana, ale to poparcie jest jakąś przesłanką do wniosku, że Polacy, zmęczeni wewnętrznymi sporami, niekompetencją polityków, nadużywaniem górnej symboliki, powoli przestają wierzyć w zbawienie w narodzie i szukają go w Europie.

Powinniśmy – utrzymuje wielu autorów i polityków – poszukiwać idei europeizmu, bo bez niego nie będzie struktury prawdziwie zintegrowanej<sup>65</sup>. Czym zaś ma być ten europeizm? Jest fenomenem jak ten rzekomy europejski duch dostrzegany przez naukowych euroentuzjastów. Poszukując chyba trzeba wciąż reinterpretować, dopełniać kompetencje poszczególnych organów unijnych wobec narodowych, bo tu dowolność jest zbyt wielka, czego swoistym poświadczeniem jest podwójna lojalność niektórych składowych Unii. Nie wydaje się także, by zasadne było poddawanie takich problemów pod dyskusje społeczne, którymi dowolnie sterują pośrednicy medialni, zależni od rządzących w państwach narodowych. Politycy „twardego rdzenia” Europy zdają się to rozumieć stosując coraz częściej formuły „dobroczyнного dyktatu” wobec słabszych partnerów, którzy mieliby kłopoty z radzeniem sobie poza strukturami. Taka niecierpliwość bierze się stąd, że zwolennicy Europy w pełni zintegrowanej zauważają niewykorzystanie ogromnego potencjału państw Unii i, patrząc w przyszłość, zauważają jak trudno byłoby radzić sobie z potencjalnymi zagrożeniami bez parasola ochronnego Stanów, być może dziurawego, ale jednak. Mając i to na uwadze niektórzy jednak sugerują, że Europa staje się samodzielnym uczestnikiem życia międzynarodowego – takie sądy są uprawnione, ale tylko w części. Choćby w stosunku wielu państw do wojny w Iraku widzimy, że samodzielność podmiotowej Europy pozostaje tylko marzeniem.

Nie sądzimy, że przesadzamy mówiąc, iż w naszym czasie Europie najbardziej brakuje wiary, nadziei w spełnienie w tej nowej jakości i właściwie symbolizowanych wartości, które tworzą przestrzeń działania. Wydaje się, że poprzestała na kontentowaniu się trwaniem pozostając w stanie „wyuczzonej bezradności”, choć w ostatnim czasie, po inicjatywach kanclerz Merkel i premiera Verhofstadta, widzimy jakby nowe siły i determinację w poszukiwaniu nowych

---

<sup>65</sup> J. Liszka, *Ojczyzna, naród, państwo, region w procesie integracji Europejskiej*, [w:] *Spółczesność wobec problemów transformacji i integracji*, red. J. Liszka, Ustroń 2001, s. 187.

form dla europejskich treści. Czynią to właśnie politycy, bo oczekiwanie na presję społeczności i oddolne inicjatywy musi okazać się płonne, jeśli syte społeczności są bierne, zobojętniałe na wszystko, co nie zagraża ich statusom. Nie sposób nie godzić się z ich przekonaniem, że Europa musi zacząć walczyć o swoją podmiotowość, by móc samodzielnie radzić sobie z wyzwaniem i zagrożeniami, że pogłębianie musi zmierzać w kierunku jakości, jaką niektórzy zwa już „narodem europejskim”. Zauważono, że *spillover effect* funkcjonalistów sprawdza się, ale w okresie tak niepojętego przyspieszenia i kompensacji zagrożeń wymaga wzmocnień nie tylko przez większe zdecydowanie, ale także przez przejęcie ośrodków władzy symbolicznej i kreację wielkich wizji Europy z akcentowaniem korzyści materialnych. Pamiętając o konieczności politycznego i gospodarczego upodmiotowienia winniśmy mieć na uwadze sugestie takie, jak poniższa: „Dziedzictwo Europy polega, w istocie rzeczy na wezwaniu, byśmy nie ustawiali w próbach poszukiwania obrazu człowieka Europy”<sup>66</sup>. Ale wprawdzie musimy zapytać o to, czego tak naprawdę potrzebują Europejczycy, niezależnie od narodowości i na tym oprzeć wysiłki poszukiwaczy.

Po to, by rewitalizować społeczny aktywizm politycy muszą zacząć przekonywać, że zbawienie leży właśnie w pełnej integracji i inspirować tworzenie wspólnoty celów, nie przetrwania. *Deus ex machina* z pewnością nie pojawi się, a warto przypomnieć, że swego czasu T. Pangle miał nadzieję na to, że to właśnie ze Wschodu przyjdzie może antidotum na osłabiający relatywizm, który wścicha swą truciznę w zbiorową świadomość zachodnich demokracji<sup>67</sup>. Przypominał niezbyt wysublimowane teorie słowianofilów wieszczących zbawienie świata przez młody, świeży, tajemniczy Wschód. Ich echa pojawiły się w czasie, kiedy nadzieje zbawienia w Europie sięgnęły szczytów poparcia, bo w latach 1994–1996 wahały się między 70 a 80%<sup>68</sup>.

Wtedy to polscy eurosceptycy, niekonsekwentni po swojemu, przypomnieli dawne idee sugerując, że to właśnie Polacy mogą stać się depozytariuszami wartości europejskich, które odmłodzią Europę. Przy czym nikt nie wspominał o tym, że kultuwujemy wartości sprzed wieków, anachroniczne dla ludzi Zachodu, że Europa naszego czasu jest ufundowana na wartościach Oświecenia i nie zamierza od nich odstąpić. Przejawiając swego czasu eurosceptycyzm, a dziś zachowując się co najmniej niekonsekwentnie wobec wspólnoty powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że „Polska to kraj biedny i fatalnie rządzony, zapyziała prowincja Europy w sensie materialnym i kulturowym. Mamy olbrzymie długi i zero zapasu do pracy. Jeżeli znalazł się frajer, który chce nam dać choć jedno

<sup>66</sup> N. Lobkowitz, *Czas kryzysu, czas przełomu*, Kraków 1996, s.19.

<sup>67</sup> T. Pangle, *Uszlachetnianie demokracji*, Kraków 1994, s. 119.

<sup>68</sup> U. Świętosławska, *Stosunek Polaków do integracji z Unią Europejską*, [w:] *Cywilizacja w czasie i przestrzeni*, red. U. Świętosławska, Toruń 2002, s. 57.

euro, chce zainwestować w naszą ziemię, który chce nauczyć nas ogłady i zmusić do pracy, nie mamy nad czym myśleć. Alternatywą jest tkwienie w kolchozie pod wezwaniem Łukaszenki z winem Arizona w spracowanej dłoni. Będziemy wówczas tworzyć harmonijną całość z liderami naszego życia publicznego<sup>69</sup>. Ten przydługi cytat publicysty jest bodaj najlepszym komentarzem do uroszczeń sprzed kilku lat, znacznie lepszym niż wyważone, niezwykle ostrożne uwagi naukowców i zarazem sugestią, jakimi argumentami możemy skutecznie profilować przestrzenie mityczne wielkich grup Polaków, którzy widzą Unię jak zagrożenie nie chcąc zdawać sobie sprawy, że ona jest formą obrony przed zagrożeniami o wiele większymi. Po pierwsze, przed siłami globalizacji, a po drugie, przed nami samymi.

Teoretyk zauważający połowiczność zbawienia bogatej Europy zdawał się marzyć o spełnieniu w wartościach ztraconych w sybarytyzmie. Wschód Europy, choć i tam powtarzano, że jest depozytariuszem autentycznych wartości, nie odnowi Europy. Tam, narodowe fobie związane z poczuciem braku spełnienia rodzą tylko nowe postaci eurosceptycyzmu, od gróźb utraty tożsamości narodowej do wizji Europy tępych eurokratów czyhających na dobra tego Wschodu. Oskarżający zarzucają im niepoohamowaną żądzę regulacji, totalizm i większość grzechów głównych. Pisze się o tym, że urzędnicy unijni chcą decydować o wszystkim poświęcając dyrektywy nawet lusterkom wstecznym w ciągnikach rolniczych<sup>70</sup>. Mają swoje racje, bo istota biurokracji generuje ogrom działań magicznych, ale swoje racje mają także urzędnicy. Muszą przecież zorganizować chaos znajdując się na początku tworzenia i robią to na swoje sposoby. Chyba jednak nie najgorsze, bo ci, którzy konfrontowali się z biurokratami polskimi i europejskimi utrzymują, że eurokraci właśnie mogą być stawiani polskim jako wzór.

## Streszczenie

### Soteriologia zbiorowa.

#### Uwagi o procesie kształtowania się narodowych idei zbawienia

Każdy naród – zauważał R. Williams – wręcz musi posiadać wspólną religię. Posiadanie wspólnych idei, rytuałów i symboli konstytuuje sens zbiorowości nawet wtedy, gdy taka zbiorowość jest rozrywana przez konflikty. Oznacza to konieczność transferu tych idei i rytuałów, sposobów myślenia i czucia przez akulturację młodych pokoleń przez starsze. Bez takiego transferu, komunikacji

<sup>69</sup> K. Czabański, *Przyjdzie Unia i wyrówna*, „Gazeta Wyborcza”, 4.03.2002, s. 18.

<sup>70</sup> V. Angress, C.P. Hutter, L. Ribbe, *Banany dla Brukseli. Ciemne strony Unii Europejskiej*, Wrocław 2002, s.127.

ideałów, nadziei zbiorowych, jakie przepływają przez życie zbiorowości życie społeczne mogłoby nie przetrwać.

Poszukiwanie zbawienia, przez jakie rozumiemy spełnienie materialne i duchowe zaś jest oczywistym składnikiem egzystencji. Dla wielu ludzi w esencjonalnie indywidualistycznej kulturze jest to tożsame ze sprawiedliwością społeczną, najważniejszym wymiarem poszukiwań owego zbawienia. Mimo usiłowań niełatwo określić jego kategorię. Próby zdefiniowania zbawienia są rozbieżne i często sprzeczne. W każdej narodowej religii można spotkać elementy zbawcze, w tym problemy dyskryminacji, biedy, nierówności materialnych, materialnych także obaw związanych ze środowiskiem naturalnym. Niektórzy widzą je jako swoiste ziemie obiecane, inni inaczej. Pisząc o narodowej, polskiej wizji zbawienia autor starał się odnaleźć kilka jakościowych czynników mogących pomóc określić tożsamość zbiorową Polaków.

## Summary

### Salvation in Nation

Every functioning nation – R.W. Williams points out – has to an important degree a common religion. The possession of a common set of ideas, rituals and symbols can supply an overarching sense of unity even in a society riddled with conflicts. Nation exists through a process of transmission quite as much as biological life. The transmission occurs by means of communication of habits of doing, thinking and feeling from the older to the younger. Without this communication of ideals, hopes, expectations, opinions from these members of national society who are passing out of the group life to those who are coming into it, social life could not survive.

The search for salvation is an obviously important component of the quest. For many people in this essentially individualistic culture, it is a preoccupation that virtually eclipses the idea of social justice, the other central dimension of the search. At the very least, the pursuit of salvation offers a point of entry. Definitions of salvation are diverse and often incompatible. In every national religion everyone had a right to pass through the zone of abundance, and in time, it was thought, everyone would. As the goal of general abundance was approached the major social problems of discrimination, poverty, unemployment, divisive material inequalities and environmental stress would become manageable. Some people might define abundance itself as the promised land: others might move on from material satiety to new psychological and spiritual frontiers. Thinking about national, Polish salvation author tried to find some new questions about the national identity.